ROZMAITOŚCI.

Dnia 4 stycznia, N^er^ 1. roku 1845.

N O W Y R O K.

Spowity nocą
Drzymiący świat,
Sny go kłopocą
Ubiegłych lat.

Z czasów powodzi
W północny mrok
Chwilką wychodzi
Młodzieńczy rok!

Niktże nie wita,
Prócz nocnéj mgły?
Niktże nie pyta,
Dobry czy zły?

Zewsząd pytania, znikąd odpowiedzi,
A jednak w końcu nie ciekawość próżna
Z lica przyszłości wyczytać się biedzi:
Co ona spłaci, w czém zostanie dłużna.

Każdy w tę rolę tajemniczych plonów
Z nadzieją zbioru bodaj ziarnko włożył,
Każdy na skali ulubionych tonów
Z akordów pragnień rzeczywistość stworzył!

Nie dziw, że tęskną utopił źrenicę
W młodego roku milczącéj postaci,
Że wybiegł myślą za jutra granicę,
Szukając chwili, co płaci, co traci.

J. Z.

Czarny starosta.

POWIEŚĆ HISTORYCZNO-ROMANTYCZNA Z PIERWSZÉJ POŁOWY ZESZŁEGO WIEKU.

Po obu brzegach Wisły szérzą się dalekie lasy w głąb kraju. Nieliczne, zaniedbane drogi przerzynają tę okolicę, która i dziś jeszcze nie wielce ożywiona, była témci bardziéj opustoszałą w piérwszych latach zeszłego wieku, po niedawnych burzach domowéj i szweckiéj wojny. Wiodący z południa ku stolicy gościniec ciągnie się samotnie i odludnie pośród leśnéj krainy, rzadkim tylko turkotem wozów przerywając posępną ciszę, jaka tu powszechnie przez większą część roku panować zwykła.

Dopiéro w porze jesiennych łowów, gdy pan téj okolicy zjechał do przepysznego zamku, leżącego w głębi tych lasów, przybiérały tutejsze strony odmienną wcale postać. Samotny dotąd gościniec ożywiał się natenczas gwarnym tłumem wozów, służby i koni; liczne orszaki dworzan uganiały się po sąsiedztwie za rozkazami pańskiemi; przybywali goście za gośćmi; wyprawiano huczne łowy, a gdzie dotychczas tylko szelest przemykającego zwierza lub swobodny spiew ptasząt słyszeć się dawał, zabrzmiała nagle szalona myśliwska wrzawa strzelców, ogarów, trąbki i strzałów.

Sama też płeć nadobna lubiała uczestniczyć w téj zabójczéj rozrywce! Jasne poranne słońce promieniło się wesoło pomiędzy drzew zielenią i oświécało dwie piękne młode postacie, które na lekkich krajowych konikach gnały wraz z całém gronem myśliwych za ruszonym jeleniem, jakgdyby na wyścigi dociérały do celu długo upragnionego szczęścia.

»Ach stryju!« zawołała młodsza do jadącego z boku mężczyzny, odznaczającego się szlachetną postawą, i lubo nie w piérwszym kwiecie wieku lecz jeszcze zawsze czérstwego i pięknego. — »Ach, stryju, za późno przybieżemy — tamci są już dawno za mostem.«

»Obierzemy bliższą drogę przez potok, Kazimiro!« odparł towarzysz; poczém zwracając się do drugiéj niewieściéj uczestniczki tych łowów, delikatnéj i nieco trwożnéj blondynki, zapytał: »A nasz miły gość, czy się nie boi?«

»Nie boję się,« odrzekła blondynka, lecz jéj niespokojne oko, śledzące bojaźliwie głębokość potoku, zadawało widocznie fałsz jéj wyrazom.

»Tędy najlepiéj!« ozwał się jeździec przypuściwszy konia naprzód. »Powoli Kazimiro! Obaczysz swawolnico, że się na niebezpieczeństwo narazisz. Pozostań się za nami; a pani pozwól, abym ci konia przytrzymał. Kazimiro, ukosem na dół. Zwolnij pani cugli koniowi, panno Matyldo; miéj się na baczności, skaczemy!«

Kazimira jednak, pomimo napomnienia stryja, zjechała prosto na dół, przeleciała pędem przez obryzgujący ją potok, i pognała również prędko na stromą górę, która się po tamtym brzegu potoku wznosiła. Wzjechawszy na sam wierzchołek, obejrzała się ze śmiechem na stryja, który z troskliwą ostrożnością przeprowadzał swoję towarzyszkę najwygodniejszemi miejscami.

»Jam Ossolińska,” odpowiedziała Kazimira z dumą, gdy ją stryj za jéj niewczesną śmiałkowatość karcił. »Spieszmy, inaczej przybędziemy za późno.”

Drużyna myśliwska zapuściła się tymczasem coraz daléj w głąb lasu, nie mogąc przecież doścignąć jelenia, który zawsze jeszcze dość znacznie wyprzedzał goniących za sobą nieprzyjaciół.

»Jak się pokazuje,” rzekł stryj do przyjaciółek, »gonimy na próżno za jeleniem. Oto już blisko granica, a po tamtéj stronie nie wolno nam ścigać źwierza, chybabyśmy się na tysięczne nieprzyjemności wystawić mieli.”

»Słyszysz, Matyldo?” ozwała się Kazimira szyderczo do swojéj towarzyszki. — »Czy i w twojéj ojczyźnie są tacy przezorni panowie, którzy wszystko, a nawet swobodną rozrywkę łowów pod rozsądną uwagę biorą?”

»Masz zbyt uszczypliwy języczek, moja kochana synowico;” rzekł stryj, urażony iż w obecności pięknéj Niemki tak ostry przycinek usłyszeć musiał. »Twoja lekkomyślność nazwałaby może i to także rozrywką, gdyby z powodu lichego źwierza, przyszło do rozlewu krwi ludzkiéj?»

»Przynajmniéj nie lękam się niebezpieczeństwa;” odparła śmiała Kazimira. — »Jeźli niegrzeczny sąsiad pragnie koniecznie sporu, tedy niechaj wystąpi: my jesteśmy gotowi. Ale ty, stryju Sewerynie, inaczéj może sądzisz?”

»Aby się nie lękać niebezpieczeństwa, trzeba mieć słuszność za sobą,” odpowiedział stryj żywo. »W tym zaś wypadku, byłaby wina na naszéj stronie.”

»Widzisz Matyldo,” zwróciła się Kazimira do swojéj jasnowłoséj przyjaciółki, »że nasza polska szlachta niesprawiedliwie za gwałtowną, porywczą i namiętną jest okrzyczana. Przynajmniéj hrabia Seweryn Ossoliński stanowi świetny wyjątek—»

W téj chwili postrzeżono jelenia. Ossoliński przypuścił konia, chcąc go jeszcze przed sąsiednią granicą dognać, gdyż zależało mu wiele na tém, aby polowanie na swoim własnym gruncie ukończyć, zwłaszcza, iż także po tamtéj stronie dał się słyszeć wystrzał przed chwilą. Jeleń pomykał z ostatniém wytężeniem sił naprzód, lecz ku wielkiéj radości Ossolińskiego, tuż około pogranicznego dębu, zwrócił się w inną stronę i ułatwił przeto właśnie pogoń psom rozżartym, które prawie już go dosięgały. Kazimira nie posiadała się z uciechy, podczas gdy jéj towarzyszka z widoczną litością na biédne ścigane źwierzę patrzyła, życząc mu z całego serca ocalenia od zguby. Goniono już teraz ponad samą granicą, lecz zawsze jeszcze na gruncie Ossolińskiego. Nagle zaszeleściło coś w krzakach, przestraszony témbardziéj jeleń pierzchnął na drugą stronę i dawszy kilka silnych susów, dostał się w las sąsiedni.

»Daléj za nim, daléj!” wołała Kazimira, a nie czekając na stryja, pognała sama naprzód i zniknęła wkrótce śród lasu na cudzym gruncie. Matylda była o nią w najżywszéj obawie. Tymczasem nadjechało więcéj myśliwych. Ossoliński prosił ich usilnie, aby nie przekraczali granicy sąsiada, z którym on w niebardzo przyjaźnych stosunkach żyje. Co się zaś tycze Kazimiry, tedy on sam ją odszuka i z lasu wyprowadzi. Matylda ozwała się z prośbą o pozwolenie jechania razem z nim za Matyldą. Stryj przyjaciółki dał znak przyzwolenia, poczém oboje udali się do sąsiedzkiego lasu, jadąc wciąż śladem, jaki koń Kazimiry w wysokiéj trawie zostawił. Ossoliński okrzyknął kilka razy imię synowicy po lesie i mniemał słyszeć odpowiedź, lub go może tylko echo zwodziło.

»Panie hrabio, czy słyszysz?» zapytała nagle Matylda. Wtém ozwał się jakiś przeraźliwy wykrzyk nie bardzo zdala na lesie. »Na miłość Boga, musiało się jéj coś wydarzyć!”

Zaledwie to wyrzekła, nadleciał koń Kazimiry, lecz sam, bez swojéj zapamiętałéj jezdczyni.

»Spadła!” zawołał Ossoliński chwytając konia i oglądając go wkoło, czy jaki ślad przypadku nie pozostał.

»Ach gdyby tu nasi myśliwi byli,» ubolewała Matylda, »aby ten nieszczęśliwy las we wszystkich kierunkach przebiedz mogli!”

»Trzeba ich tu przywołać;” rzekł Ossoliński. — »Teraz ustaje już wszelki namysł. Mój sąsiad sam to przyzna, gdy mu szczérze i otwarcie o tém donieść rozkażę.” Po tych słowach wziął trąbkę, którą nosił przy boku, i dał znak przyjaciołom aby pospieszyli do niego.

W téjże chwili wystąpił zpoza krzaków jakiś mężczyzna z myśliwską strzelbą na plecach. Matylda tak się go bardzo przelękła, iż na głos wykrzyknęła; on jednak nie zważał bynajmniéj na nią, mierząc tylko jéj towarzysza pałającém od gniewu okiem.

„Na moimże to gruncie polujesz, panie podskarbi?” zawołał groźnym głosem.

„Nie poluję!” odpowiedział Ossoliński z pośpiechem, witając go lekkiém skinieniem ręki. — »Pozwól się wytłumaczyć—”

»Nie potrzeba tu żadnego tłumaczenia!” przerwał mu obcy porywczo. »Nie trąbiłżeś tu przed chwilą? Nie słychaćże tam odpowiedzi na uczynione wezwanie? A toż na moim gruncie? Chceszże sobie

na mojéj własnej ziemi urągać ze mnie? Złeź z konia, jeźli nie jesteś tchórzem, i spraw się ze mną!»

»Powtarzam, iż to nie było polowanie!» ozwał się Ossoliński łagodnie. »Szukamy mojéj synowicy, która zabłądziła w tym lesie.»

Usta nieznajomego skrzywiły się gorzkiém szyderstwem. »Chcesz się tedy pod niewieści fartuszek schronić?» zaśmiał się dziko.

Nato Ossoliński porwał się wściekle z konia, pochwycił za karabelę i stanął naprzeciw nieprzyjaźnego sąsiada, który rzuciwszy strzelbę, był także gotów do boju. Lecz oto i Matylda zeskoczyła w śmiertelnéj trwodze z konia, i wołała błagalnym głosem: »Uspokójcie się, na rany zbawiciela, panowie! Tu niema najmniejszego powodu do krwi rozlewu. Co pan Ossoliński wyrzekł, jest świętą prawdą. Szukamy Kazimiry, któréj nieszczęśliwy przypadek się wydarzył.»

Dalsze jéj słowa przerwało przybycie przyjaciół podskarbiego, którzy teraz na jego wezwanie przyleciawszy, zniweczyli swym hałasem wrażenie, jakie piękność i rzewna prośba Matyldy uczyniły były na nieznajomym. Wzrokiem rozdrażnionego dzika spojrzał po drużynie gości i dworzan nienawidzonego sąsiada, oczy jego zaiskrzyły się szalonym gniewem, złość i nienawiść pałały we wszystkich rysach jego twarzy, pochwycił znowu porzuconą przed chwilą strzelbę, oparł się plecami o drzewo, odwiódł kurek i czekał nieustraszenie napadu nieprzyjaciół.

Ossoliński jednak skinął ręką na swoich, i odezwał się do nich: »Stójcie i zaświadczcie panowie, iżem was nie prowadził w cudze granice! Wzywam waszego świadectwa jedynie nato, aby moję sławę od podejrzenia kłamstwa zachować; zresztą panie starosto Tarczyński, nie usuwam się przeto od walki; wywalczymy ją z sobą.»

»Dobrze!» odparł starosta. »Chociaż nie dzisiaj i nie tutaj. »Ci panowie» — dodał mierząc jednego po drugim wzrokiem — »są mi wszyscy znajomi; mam sobie tedy za obowiązek rozprawić się z każdym zosobna za wyrządzoną mi krzywdę.»

»Stawaj!» krzyknął nagle jeden z myśliwych, dorodny, rycerskiéj miny młodzieniec, imieniem Mokronowski. »Miejsce dogodne, i świadków mamy dosyć!»

»Zaczekaj,» — odrzekł starosta z dumą — »aż przyjdzie kolej na ciebie, panie kasztelanicu. A wy, moi panowie, jeżeli chcecie, udajcie się do mego myśliwskiego domu, gdzie waszą zbłąkaną damę znaleźć możecie. Do zobaczenia!»

Przyłożył hardo rękę do czapki i odszedł pewnym spokojnym krokiem, nie zważając na dalsze słowa i wymówki Ossolińskiego.

»Zapamiętalec i nic więcéj,» rzekł podskarbi pomagając Matyldzie wsiąść znowu na konia. »Nie troszczmy się nim bardzo, ale raczéj spieszmy odszukać Kazimirę.»

Całe towarzystwo ruszyło ku myśliwskiemu domowi czarnego starosty, jak pana Tarczyńskiego powszechnie zwano. Byłto jeden z najmożniejszych panów okolicy, utrzymujący na swoim dworze liczny orszak zbrojnych dworzan, z którymi nieraz srogie najazdy na sąsiednie dwory przedsiębrał. Ztąd niejeden z dzisiejszych gości Ossolińskiego obawiał się nie bez powodu, aby mu czarny starosta lada dzień tysiącem przynajmniéj koni nie chciał dworu najechać i wsi i młynow w perzynę nie obrócił. Sam tylko Mokronowski śmiał się z tego spotkania, ciesząc się owszem nadzieją pojedynku z czarnym starostą — co też łatwo mógł czynić, gdyż szabla i śmiałe serce były całą jego własnością.

Po krótkiéj przejażdżce ujrzano biały domek między drzewami i odezwało się psów kilka, którym sfory naszych myśliwych głośnym odpowiedziały chórem. Słudzy starosty Tarczyńskiego domyślili się już przyczyny przybycia obcych gości i donieśli im że Kazimira tu się znajduje. Koniuszy pana Tarczyńskiego przywiózł ją na własnym koniu starosty, a ponieważ była cokolwiek skaleczona i mocno strachem przejęta, złożył ją tu w tym domku. Lecz teraz przyszła już zupełnie do siebie i żądała usilnie, aby ją do zamku podskarbiego odprowadzono. Wszyscy udali się więc niezwłocznie ku bramie zabudowania, z którego już Kazimira przez okno znak im ręką dawała. Po krótkiéj chwili przycisnęła ją tkliwa przyjaciółka do piersi. Zapamiętała jeźdczyni była teraz blada i słaba, i miała owiązaną głowę, gdyż skaleczyła sobie czoło padając z konia.

»Cóż ci się stało? Cóż ci się stało?» pytała ją Matylda pokilkakrotnie.

»Ach ten nieszczęsny jeleń,» mówiła Kazimira zadyszana. — »Jużem go była dognała — niemógł daléj uciekać — więc się zwrócił nagle aby się bronić. Mój przestraszony koń skoczył na bok, — jam upadła na ziemię — nademną kopyta końskie — tam jeleń z pochylonémi rogami — więcéj nic nie pamiętam. Odzyskawszy przytomność ujrzałam się z owiązaną głową, przy mnie stało dwóch mężczyzn — jeden z nich posadził mię na konia, lecz na cudzego, mój uciekł — drugi przyprowadził mię tutaj — gdzie jakaś dobra kobiéta pokrzepiła mię wzmacniającémi kroplami. Teraz przyszłam już do siebie i mogę z wami jechać.»

Ossoliński słuchał z niejakiém zawstydzeniem opowiadania swéj synowicy. Obejście starosty z Kazimirą było tak szlachetne, iż podskarbi żałował, że go jeszcze bardziéj przeciw sobie zniechęcił. Cała wina ciężyła oczywiście na upartéj dziewczynie, która nietylko swojego stryja, lecz i jego licznych gości uwikłała w niepotrzebną zwadę z człowie-

kiem, o którego bezprawiach po całym kraju zatrważające wieści biegały. Jakoż i sama Kazimira zdawała się uczuwać niestosowność swojego postępowania. Istotne niebezpieczeństwo, w jakiém się znajdowała, ugięło nieco jéj ducha; z spuszczoną na dół głową słuchała wymówek stryja i uchwyciła go za rękę, aby ją do ust przycisnąć. Matylda wstawiła się ujmującą prośbą za przyjaciółką, a ponieważ rycerskie serce Ossolińskiego nigdy pochlebnemu uśmiéchowi pięknéj blondynki oprzéć się nie zdołało, przeto stanęła wkrótce zgoda. Młody Mokronowski przypatrywał się jaśniejącém okiem téj scenie.

»Cóżbym dał za to,« — zawołał w powrocie do przyjaciół — »gdybym za pannę Ossolińskę mógł walczyć z czarnym starostą! Czemużto on jéj, zamiast nas, nie obraził!»

*

Obiedwie przyjaciółki siedziały do póżnéj nocy w sypialnym pokoiku.

Matylda opuściła ojczystą Saxoniję przed dwoma laty z matką, która będąc rodowitą Polką, z Drezna, dokąd ją w młodości za mąż wydano, powróciła po śmierci swego męża do Polski, i tu umarła. Jedyne jéj dziécię Matylda, pozostała samotna, wpośród obcego kraju, pod opieką krewnych, których prawie nie znała, i których kochać nie mogła, nie rozumiejąc ich obyczaju. Okazywano jéj wprawdzie zawsze ów udział, na jaki jéj nieszczęście zasługiwało, lecz mimo to uczuwało tkliwe serce sieroty nie jedno ciérpkie i bolesne dotknięcie. W takiém smutném odosobnieniu była Kazimira Ossolińska jedyną jéj znajomą, do któréj ona od piérwszéj chwili poznania, całém sercem przylgnęła. Pod mamiącym pozorem nierozważnéj, nieraz aż do nierozsądku posuniętéj lekkomyślności, ukrywała Ossolińska najlepsze serce, najczulsze przywiązanie, przeco jéj przyjaźń stała się z czasem jedyną pociechą smutnego życia Matyldy. Zresztą było majątkowe położenie Matyldy jak najświetniejsze. Po ojcu, który jak wiele saskiéj szlachty, cały prawie majątek na wystawnym dworze Augusta drugiego stracił, została się jéj wprawdzi[illegible]ko mała wioska w Saxonii, zarządzana teraz w jéj imieniu przez władze saskie, — témci zaś większą była spuścizna po matce, która pochodząc z jednéj z najmożniejszych rodzin w całym kraju, zostawiła córce obszerne dobra, wypuszczone przez jéj wuja, księcia Michała Wiśniowieckiego w pewną i korzystną dzierżawę. Tak nie zbywało bogatéj i pięknéj cudzoziemce na licznych wielbicielach, którzy z właściwą polskiéj szlachcie pochlébną zalotnością, starali się ująć jéj młode serce. Niestety, opiérało się ono zacięcie wszelkim szturmom miłości, aż nareszcie rozeszła się pogłoska, iż nieprzystępna Matylda zapewne już sobie jakiegoś jasnowłosego, wzdychającego Niemca obrała. Mnogie szczęśliwe chwile spędziła Matylda przy Kazimirze, która podobnież osiérocona, bawiła w domu swojego stryja podskarbiego Ossolińskiego, i tamże wychowaną, lecz oraz i zepsutą została. Dopóki bowiem pani Ossolińska żyła, umiała piękna a czasem nader uprzejma, lecz przytém nadzwyczajnie uparta Kazimira, ująć sobie do tego stopnia dobrą ale słabą stryjenkę, iż nią zupełnie kierowała; gdy zaś po śmierci pani podskarbiny inna stara krewna, pani Załuska, dozór nad nią objęła, trudno było naprawić zbyt zadawnione wady piérwszego wychowania. Sam jéj stryj Ossoliński był zanadto politycznémi sprawami zaprzątniony, aby się mógł zajmować jéj prowadzeniem. Mimo to jednak znał on dobrze wady swéj synowicy i cieszył się ztąd bardzo, widząc jéj przyjaźń dla łagodnéj i spokojnéj Matyldy, którą nawet z tego powodu wszelkiémi sposobami zbliżyć do swego domu pragnął. Żył on wprawdzie w niebardzo przyjaźnych stosunkach z ks. Wiśniowieckim, w. kanclerzem litewskim, z którym w widokach politycznych się różnił, — tyle przecież wymógł na księciu, iż Matylda na jakiś czas do jego domu przybyła, i pozostała tam wtenczas nawet, gdy zaszedł wypadek, który jak zagraniczne mocarstwa, tak też i szlachte polską na dwa sprzeczne stronnictwa podzielił. Roku bowiem 1733 umarł król August II, jeszcze przed rozpoczęciem sejmu, na który był dla uspokojenia panujących w kraju zamieszek z Saxonii do Polski zjechał. Przeważna część narodu zamyślała wyłączyć wszystkich cudzoziemców od elekcyi, chcąc nadać koronę owemu Piastowi, który ją już w czasie wojny Karola XII z Augustem II nosił, który po nieszczęśliwém ukończeniu téj wojny żył na wygnaniu w Sztrasburgu, a którego córka przed niedawnym czasem została zaślubiona z młodym francuzkim królem Ludwikiem XV, — to jest: Stanisławowi Leszczyńskiemu. Prymas Teodor Potocki ogłosił to zdanie jawnie w swoim uniwersale, ale dość znaczne stronnictwo, z księciem Wiśniowieckim na czele, oparło się zamiarowi wiekszości. Rozpoczęły się więc obopólne stronnictw zabiegi, w których nawet i damy nie zaniechały mieć czynnego udziału; udawano się do najwybieglejszych przemysłów, i nie nadarmoto pozwolił wtedy wielki kanclerz litewski, aby jego piękna siostrzenica Matylda w domu najzaciętszego bawiła przeciwnika. Seweryn Ossoliński, wdowiec, jeszcze w sile czérstwego wieku, znany oddawna jako namiętny wielbiciel pięknych kobiét, nie mógł być nieczułym na wdzięki swego miłego gościa: przeciwnie Matylda, przywiązana nadzwyczaj do swojéj saskiéj ojczyzny i jéj panującego domu, znała osobiście młodego elektora, który się o koronę swego ojca dobijał, i życzyła mu szczérze zwycięztwa; kto wie, może-

by ona swoją uprzejmością zdołała była dokonać tego, czego najusilniejsze starania dopiąć nie były wstanie — możeby mogła była skłonić potężnego Ossolińskiego na stronę elektora.

O tych politycznych nadziejach, jakie w niéj pokładano, nie miała Matylda najmniejszego przeczucia; żyła rada w towarzystwie kochanéj przyjaciółki, a jeżli się z panem podskarbim uprzejmiéj niż z jakimkolwiek innym mężczyzną obchodziła, jeżli milszém, tkliwszém nań spojrzeniem niż na kogo innego spoglądała, tedy byłoto jedynie skutkiem jego pokrewieństwa z Kazimirą. Dopiero lekki żarcik Kazimiry uczynił ją ostrożniejszą w jéj swobodném znalezieniu się z Ossolińskim.

Długo jeszcze po powrocie z łowów siedziały obie przyjaciółki w poufnéj z sobą rozmowie. Kazimira była zanadto żywo przejęta wypadkami dnia dzisiejszego, aby iść na spoczynek.

»Jeszcze tylko chwilkę,« — prosiła Matyldę napominającą ją do rozstania. — »Powiedz mi, moja kochana, czyś się dobrze staroście Tarczyńskiemu przypatrzyła?«

»I owszem,« — odpowiedziała Matylda — »nie mogę znaleźć słów na opisanie wrażenia, jakie on na mnie sprawił.«

„Jakto?« ozwała się Kazimira, rozgartując sobie włosy na czole, przezco całą twarz białą ręką zakryła.

»Mogę powiedzieć,« — mówiła Matylda daléj — »iżem się po raz pierwszy szczerze przelękła człowieka.«

»Przelękłaś się?« powtórzyła Kazimira przeciągłym tonem, a po chwili dodała: »Czemuż?«

»Trzeba abyś była widziała, z jaką dziką wściekłością on stał przed twoim stryjem, jakim okrutnym gniewem pałało jego oko! A potém, gdy reszta myśliwych nadjechała, jak on swoją strzelbę do nich wymierzył. Zdaje mi się, iżem krzyknęła na głos, gdyż myślałam co chwila że popełni zabójstwo. Ach — nie zapomnę nigdy tego widoku!«

»Mnie on się innym wydał,« odrzekła Kazimira. »Gdybyś była widziała, jak on mi chętnie w pomoc przyspieszył. Wtedy był on samą grzecznością i uprzejmością, a jego oko, które ty tak strasznem nazywasz, jaśniało najłagodniejszém promieniem. Doprawdy Matyldo, będę się gniewać na ciebie, jeżli się nie przestaniesz śmiać ze mnie. Przecież nie możesz powiedzieć, żeby starosta Tarczyński nie był pięknym mężczyzną —«

„Tego ja nie wiém,« — rzekła Matylda — »to jedno mogę zapewnić, żem go się mocno przelękła. Nie daj Boże, aby on nam większych nieszczęść nie sprawił!«

»O, nic to nie zawadzi tym jegomościom, jeżli od niego małą nauczkę wezmą —« ozwała się Kazimira. »Tak naprzykład, mamy tu pana Mokronowskiego, który rozumie o sobie, jakoby cały świat bez niego obejść się nie mógł.«

„Niewdzięczna!« uśmiéchnęła się Matylda.

»To niechaj mię zaniecha ze swémi grzecznościami!« zawołała Kazimira. »Ja go zapewnie do tego nie zachęcam; ani też się wcale smucić nie będę, jeżli mu pan Tarczyński cokolwiek czupryny przytrze.«

»Lecz i twój stryj otrzymał wyzwanie od niego,« przemówiła Matylda.

»Mój stryj jest mężczyzną, i będzie umiał się bronić. Zresztą niech mu to posłuży za napomnienie, iż się niegodzi usuwać bezkarnie od obowiązków względem swojéj ojczyzny. Jakże można gonić za rozrywkami, opuszczać stolicę, polować na jelenie po lasach, teraz, kiedy najważniejsze sprawy się toczą? Powiedziałam mu otwarcie iż tego nie pojmuję.«

»Usuwa się, bo nienawidzi podstępnych zabiegów stronnictw;« rzekła Matylda.

»Lecz hańba jest ustępować w chwili, gdy naród na kogo liczy!« zawołała Kazimira z uniesieniem.

»Zaniechajmy tych politycznych sporów,« prosiła ją Matylda łagodnie. »My dziewczęta nie potrzebujemy, dzięki Bogu, mieszać się do nich.«

»O nie — nie!« odparła Kazimira z żywością. »Moja dusza nie jest tak obojętną, aby się nie miała oburzyć, gdy chcą frymarczyć koroną mojéj ojczyzny, jakgdyby ona żydowskim towarem była! Teraz lub nigdy pora zachować swobodę Polski! — Żaden cudzoziemiec nie powinien zuchwałéj ręki po jéj królewskie berło wyciągać! Polskiéj tylko ręce przystoi szczerbiec Chrobrych!«

»Unosisz się, moja droga,« — zakończyła z uśmiechem Matylda, głaszcząc ją pieszczotnie po rozpalonem licu. »Miéj słuszność, nie będę się sprzeczać z tobą. Lecz teraz pójdźmy już na spoczynek. Wkrótce północ uderzy.«

Dopiero po usilnych naleganiach przyjaciółki dała się Kazimira nakłonić do rozstania, lecz gdy się nazajutrz rano zbudziła, okazało się, iż obawa Matyldy nie była płonną: Kazimira czuła się słabą i musiała przez kilka dni w łóżku pozostać. Matylda nie odstąpiła jéj ani na chwilę, pilnując ją troskliwie z starą kuzyną, która rządem domu zawiadowała.

Tymczasem rozjechali się goście, a wkrótce za nimi oddalił się też podskarbi, którego, jak powiadał, jakiś pilny sprawunek do stolicy powołał. Pod jego niebytność wyzdrowiała Kazimira, lecz nieobecność stryja, brak gości a może jeszcze jaka inna przyczyna pozbawiły ją, choć nie na długo, zwyczajnéj wesołości. Tak nastało kilka dni jednostajnéj, posępnéj ciszy na zamku podskarbiego.

*

Tę krótką samotność zamkową ożywiło dopiero przybycie powozu podróżnego, który zaprzężony

trzema małemi końmi, wjechał jednego wieczora na dziedziniec. Przystępując do okna ujrzała Kazimira podróżnego gościa, wychylającego się z powozu i pytającego o gospodarza domu. Wiadomość o jego niebytności zdawała się przykre na nim czynić wrażenie. »Niepodobna!« ozwał się z niedowierzaniem.

»Tak jest,« powtórzył marszałek domu.

»Ale przecież wkrótce powróci?« zapytał nieznajomy.

»O tém nie mamy żadnéj dokładnéj wiadomości,« odrzekł marszałek.

»Więc muszę zaczekać na niego;« — rzekł nieznajomy. — »Spodziewam się, że mi pani podskarbina pozwoli tu przenocować.«

»Nasza pani od ośmiu lat już nie żyje;« odpowiedział marszałek, spozierając ciekawém okiem na jego skromny strój zagraniczny. Znał jednak zanadto dobrze gościnne obyczaje swojego kraju, aby nie miał zezwolić natychmiast na życzenie obcego podróżnika, przyczém uznał tylko za rzecz potrzebną, zapytać o stan gościa, którego musiał oznajmić pani Załuskiéj, zastępującéj miejsce gospodyni domu.

»Jestem kupcem,« ozwał się nieznajomy z pośpiechem, »pan podskarbi mię zna.«

Po tych słowach wysiadł z powozu, i wsparty na ramieniu jakiegoś siwego starca, który się zdawał być jego sługą, udał się z marszałkiem do oficyny, gdzie mu tymczasowe mieszkanie miało być wyznaczone. Po drodze dawał swojemu towarzyszowi niektóre rozporządzenia we francuzkim języku, co wraz z jego cudzoziemskim ubiorem, a doskonałą przytém wymową polską, niemałéj wszystkich domowników ciekawości względem jego osoby nabawiło.

Podczas gdy się to działo na dziedzińcu, nudząca się Kazimira zeszła była do zamkowego ogrodu i wziąwszy przyjaciółkę pod ramię, udała się na wieczorną przechadzkę. Powierną zajęte pogadanką wyszły za fórtkę, w pole, gdzie dobrze znana im ścieżka zawiodła ich powoli ku lasowi, nad niewielkie jezioro, do rybackiego domku, będącego zwykłym celem ich wieczornych wędrówek. Tu na ławeczce pod domkiem usiadły przyjaciółki i spoczywając po dość długiéj przechadzce, bawiły się rzucaniem okruszyn chleba rybom, które po powierzchni wody pluskały. Spokojne fale jeziora źwierciedliły się tak uroczo w cieniu zwisających ponad wodą gałęzi, spoczynek w téj czarującéj ustroni był tak powabny i miły, iż się przyjaciółki ledwie postrzegły, że się już zmierzchać zaczęło i że czas już wracać do domu. Matylda była pierwszą, która się zerwała do powrotu i opuściła to ulubione miejsce. Ale nim jeszcze kilka kroków uszły, cofnęła się z przerażeniem, które nawet okrzyk przestrachu w piersi jéj przytłumiło. Tuż za rybackim domkiem ujrzała jakiegoś groźnego mężczyznę na koniu, a tam z głębi lasu, koń za koniem, nadjeżdżał liczny orszak rycerstwa, który napełniając całą leśną dolinę, otoczył kołem jezioro, domek i obie przyjaciółki. Matylda omało nie umarła ze strachu; Kazimira jednak wyszła śmiało naprzeciw dowódzcy jeźdźców, który na jéj widok zatrzymał swego przepysznego rumaka.

»Wyż-to, panie starosto Tarczyński?« zawołała zdziwiona. »Wolnoż pytać co nam sprawia przyjemność tych odwidzin?«

Byłto czarny starosta. Matylda poznała go natychmiast, lecz dzisiaj nie wydał on się jéj tak dzikim i okrutnym, jak wtedy, gdy nań po raz pierwszy patrzyła. W rysach jego nie widać było żadnéj srogości; oko jego nie pałało już nienawiścią ale spoczywało raczéj z przyjemném zadziwieniem na pięknéj postaci Matyldy. Dopiero zapytanie Kazimiry skierowało jego spojrzenie w inną stronę; zwrócił się ku niéj, ukłonił się i rzekł: »Cieszę się mocno widząc panią znowu przy tak dobrém zdrowiu po ostatnim wypadku. Czy pan podskarbi w domu?«

»Niema go w domu,« odrzekła Kazimira.

»Tém lepiéj!« zawołał starosta, a potém podnosząc się szybko na siodle, krzyknął do swoich towarzyszów: »Jedźcie więc panowie, i czyńcie cośmy postanowili. Wy, moje panie, zostaniecie przez jakiś czas tutaj ze mną, gdyż obawiam się, iż nie znajdziecie dzisiaj dość bezpiecznego schronienia w zamku.«

»Cóż to ma znaczyć?« ozwała się Kazimira, »domyślając się z przerażeniem zamiaru téj zbrojnéj wyprawy. »Przecież nie zechcesz panie starosto, roznosić mordu i pożogi?«

»Chcę tylko zostawić pamiątkę po sobie, piękna panno,« odrzekł starosta. »Pan podskarbi obraził mię dotkliwie, a tego nikomu nie przebaczę.«

»Tedy rozprawcie się z bronią w ręku,« odparła gorliwie Kazimira — »a nie jak zbójcy czynią.«

»Jeszcze gorzéj!« przerwał starosta. »Wiém ja w jak niekorzystném świetle przedstawiam ja się przez to,« dodał zwracając się do Matyldy, któréj oko z niewymowną obawą nań spoglądało, — »lecz nie mogę już zmienić: poprzysiągłem.«

»O miéjcie litość,« przemówiła teraz Matylda. »Czyż my was czém obraziły? O, zmiłujcie się nad bezbronnémi ludźmi w zamku, a przez całe życie będziemy wam zato dziękować. Hrabia Ossoliński chce wam zadość uczynić, czyż was to od przysięgi nie uwalnia! O, wysłuchajcie próśb naszych; każcie im wrócić, wszak jeszcze czas po temu!«

Podczas téj mowy ożywiły się jéj rysy zachwycającym wyrazem, oko jéj zajaśniało tym ujmującym blaskiem, któremu rzadko kiedy męzka wola oprzéć się zdoła.

»A jakąż nagrodę wyznaczasz pani na to?«

»Naszą wdzięczność! Nasz szacunek!« zawołała Matylda. »O spieszcie się, nie zwlekajcie!«

Przez chwilę zdawał się wahać starosta; nagle spiął konia, puścił się w pogoń za swoimi towarzyszami i wrócił w oka mgnieniu do przelęknionych dziewcząt. »Twoja prośba, pani, spełniona;« rzekł do Matyldy. »Powściągnąłem moją nienawiść, chociaż mogłem zemścić się krwawo na nieprzyjacielu. Niechciéj przeto zapomnieć iż nabyłem praw do twojéj wdzięczności. Kto mię zna, rzekłby, iżem się stał niewieściuchem; a jeżeli ta niesława spadnie na mnie, ty, pani, jedna, będziesz temu winną. Lecz może lepiéj, że się tak stało; zaczekam aż póki nie będę mógł walczyć osobiście z nieprzyjacielem. Przebacz mi pani trwogę, jaką'm ci sprawił.«

To rzekłszy skłonił się przed dziewczętami i zniknął wraz z swoim orszakiem w coraz bardziéj zamierzchającym lesie. Drżącą ręką pochwyciła Matylda ramię Kazimiry, która zadumana milczała, i pobiegły obie znaną ścieżką ku zamku. Stroskana pani Załuska przyjęła je z mnogiemi za tak późną przechadzkę wymówkami, których jednak Kazimira ani słuchała, spiesząc tak prędko do swojego pokoju, że Matylda nawet zdążyć za nią nie mogła. Wstąpiwszy zaś do pokoju swej przyjaciółki, ujrzała ją leżącą w całém jeszcze ubraniu na łóżku, z obliczem głęboko w poduszki skrytém.

»Moja Kazimiro! ozwała się Matylda łagodnie. »Zapomnij to nieszczęsne zdarzenie. Dziękujmy Bogu, że ono tak przeminęło.«

Na te słowa zerwała się Kazimira z łóżka, objęła namiętnie przyjaciółkę w ramiona, przycisnęła rozpalone lica do jéj piersi i zalała się łzami.

Po długich prośbach uspokoiła ją wreszcie Matylda, lecz do szczerego, poufnego zwierzenia, jakie niegdyś jedna drugiéj czyniła, nie przyszło już więcej pomiędzy obiema przyjaciółkami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prawdziwy rok urodzenia Chrystusa, czyli — powinnibyśmy właściwie pisać: rok pański 1864ty a nie 1845ty. Pod tym napisem wyszło niedawno dzieło, które z nadzwyczajnie bystrą krytyką wszelkie odpowiednie swemu celowi historyczne wypadki roztrząsa, a przez umieszczone na końcu szczegółowe wyrachowanie zupełnego zaćmienia księżycowego z dnia 16 października w roku 16tym przed narodzeniem Chrystusa niemałéj nabywa wiarogodności. Zasadzając się na ścisłych chronologicznych badaniach, przeprowadza ono następujący dowód: iż po 1sze, zbawiciel nasz urodził się 10go lub 11go (Julijańskiego) grudnia wroku 735 od założenia Rzymu, czyli 19 lat **przed** naszą zwykłą erą; zaczém powinnibyśmy teraz pisać nie 1845, lecz 1864 od narodzenia Chrystusa; po wtóre, iż owe zaćmienie księżyca, o którem dziejopisarz Josephus wspomina, jakoby się miało wydarzyć téj saméj nocy, kiedy Herodes obudwóch mędrców zakonu zabić kazał, zaszło właściwie pod wieczór 16go (Julijańskiego) października roku 739 od założenia Rzymu, czyli 16 lat przed naszą erą, a nie, jak dotąd mylnie utrzymowano, w nocy z dnia 12go na 13sty marca roku 750 od założenia Rzymu, zkąd następnie wynika, iż — po 3cie, Herodes dnia 9 lub 10 listopada, (7 kislew) roku 739 umarł; że po 4te, Chrystus otrzymał chrzest od św. Jana w Jordanie dnia 6go stycznia roku 761, czyli w roku 10tym naszej zwyczajnéj ery; a po 5te, iż Chrystus pan został ukrzyżowanym w piątek, 23go marca, a zatem we dwa dni przed wielką nocą żydowską, roku 766 od założenia Rzymu, mając 30 lat, 3 miesiące i 15 lub 16 dni wieku swego. Też same badania okazują po 6te, iż początkowym rokiem epoki Minjan-Saroth jest rok 331 przed narodzeniem Chrystusa, przeco nie należy uważać téj ery, zwanej powszechnie »erą kontraktów« za jednę z erą seleucydyjską; a wreszcie po 7me, iż dziejopisarz Josephus, początkowy rok epoki Seleucydów, od roku 323 przed narodzeniem Chrystusa liczy. — Autor przytoczonej tu książki, niejaki p. Block, sądzi, iżby to było niedorzecznością, gdyby w skutek tego odkrycia chciano zaprowadzać jaką zmianę w dotychczasowym sposobie liczenia czasu; dla historyka jednak może to wyjaśnienie stać się nader korzystném.

Wieloryb pomocnikiem przy łowach śledzi. Na wybrzeżach norwegskich odbywają się nieustannie obfite łowy śledzi, których z jednego tylko miasta Bergen co roku w przecięciu przeszło 300.000 beczek wywożą. Zwyczajnymi pomocnikami przy tych łowach bywają wieloryby, które pływając spokojnie pomiędzy rybackiemi statkami, zganiają jak wyuczone kundysy płochliwą trzodę śledzi do kupy. Nie można się dość nadziwić, z jaką niesłychaną szybkością te olbrzymie stworzenia uganiają się natenczas za biednemi śledziami. Mimo swojéj bryłowatéj postaci i pozornego lenistwa, okazuje się wieloryb w takim razie we wszystkich swoich ruchach wzorem chybkości i siły. Spoczywając téj chwili na gładkiéj powierzchni oceanu, znikł nagle z oczu i pornął w morze; za chwilę wynurza się w dalekiéj odległości zpod wody i pędzi lotem strzały po falach. Ledwieś go postrzegł już go niema. już ściga stada śledzi, które z niewiadomych przyczyn opuściwszy głąb morza, uciekają teraz w wielkim popłochu przed groźną pogonią wielorybów. Nareszcie dopadł ich nieprzyjaciel, a zwycięzkie wieloryby, zagnawszy całą nieprzejrzaną chmurę śledzi do skalistéj zatoki, skąd im już ujść niepodobna, zalegają wnijście zatoki i leżąc jak olbrzymie kłody drzewa przed zamkniętą czeredą swoich jeńców, chłoną za każdém otworzeniem przepaścistéj paszczy, z szybkością wiru morskiego, mnóstwo żyjących zwierząt, których krew i rozdarte członki, wraz z zielonkowatą, nieczystą zmieszane wodą, wytryskują za chwilę wysokim strumieniem z ogromnych nozder tych potworów. Łatwo sobie wystawić, ileto beczek śledzi ginie codziennie tym sposobem; lecz rybacy nie bronią wielorybom téj pastwy, któréj pomimo ich żarłoctwa, jest zawsze daleko więcej, niż wszyscy rybacy zabrać są w stanie. Wieloryby są owszem przedmiotem troskliwości rybaków; nikt ich nie śmié obrazić, nikt spędzić z ich stanowiska; są one towarzyszami, przyjaciołmi i ulubionémi sługami rybaków, a usłużne wieloryby zdają się o tém wiedzieć, gdyż, jakkolwiek zresztą są trwożne i lada czém zrażone, tutaj pośród rybaków, leżą spokojnie pomiędzy ich łodziami, i nie troszcząc się o szerzącą się wokoło wrzawę, pożerają spokojnie przynależny im udział wspólnéj zdobyczy. Ztąd téż zgadzają się wszyscy rybacy na to, iż niéma roztropniejszego źwierzęcia nad wieloryba, i umieją to opowiadaniem wielu zadziwiających wydarzeń stwierdzić. I tak naprzykład, przytaczają następujący wypadek: Pewien rybak trudnił się przed kilką laty, pod Skudesnaes, łowieniem śledzi. Wokoło niego było przeszło sto łodzi podobnąż pracą zajętych. Tuż obok jego statku leżał ogromny wieloryb, który niedbając o nic, ani na włos nawet przed wydobywanémi sie-

ciami z drogi nie ustępował. Pogrążony w półsennem zadumaniu, połykał od niechcenia tysiące śledzi i zlewał swoim z nozder wytryskającym strumieniem łódź pobliską, która przednią częścią prawie jego grzbietu się dotykała. Stary doświadczony rybak, pomny wzajemnego przymierza i rozmaitych usług wieloryba, nie brał mu tego za złe, lecz jego dziesięcioletni synek lękał się włożyć ręce w wodę i zarzucić sieci tuż koło rozdziawionej paszczy potworu, w której co chwila ogromne bałwany wody z mnóstwem śledzi znikały. Wziął tedy znienacka oszczep ojcowski i ukłuł nim tę czarną, wysoko z morza wystającą wyspę, aby się z drogi ruszyła. Napomnienie chłopaka wywarło zamierzony skutek; lotem błyskawicy rzucił się wieloryb o 500 łokci w dal, przez całą rybacką zatokę, pomiędzy czółna i inne wieloryby. Nagle jednak zwrócił się znowu, puścił się tąż samą drogą na powrót, i, jakgdyby dokładnie wiedział, gdzie i na kim ma doznanej zemścić się zniewagi, odszukał łódź z owym podstępnym chłopcem, i zgruchotał ją jednem uderzeniem ogona. — Ta powiastka może nam dać zresztą niejakie wyobrażenie o niebezpieczeństwie łowienia śledzi i bratania się rybaków z tak potężnymi towarzyszami, jakimi są wieloryby.

Przygoda trzech Polaków w Algeryi. R. 1836 wystąpiło 3 młodych Polaków z legii cudzoziemskiéj. Za miejsce swego dalszego pobytu obrali miasteczko Oran, gdzie żyli z zebranych w wojnie łupów, chodząc codziennie razem na polowanie. Najmłodszy z nich miał swoję matkę przy sobie, która im gospodarstwo prowadziła. Byłato zacna staruszka, przywiązana nadzwyczajnie do swego syna, z którym dobrowolnie nędzę wygnania i wszelkie dolegliwości obcego klimatu podzielała. Gdy się pewnego dnia zanadto daleko od swego mieszkania oddalili, otoczyło ich cztérdziestu jeźdców Abdel-Kadera, którym potąd mężny opor stawili, aż dopóki im jakiś stary marabut nie przyrzekł zachować życie, skoro tylko broń złożą. Oni to uczynili, a wspaniały marabut dał najmłodszemu amulet, mający im być ochroną od wszelkiego napadu. Wzięto jeńców na konie i pognano w głąb kraju. Nad wieczorem zatrzymali się pod cieniem stoletnich drzew oliwnych w okolicy Mulei Ismael. Związanych jeńców umieszczono pod drzewami; konie puszczono na paszę, każdy z Arabów zjadł co miał właśnie przy sobie, a wkońcu wszyscy oddali się spoczynkowi. Wkrótce nastąpiła zupełna cisza, przerywana tylko niekiedy szumem wiatru w gałęziach, rżeniem pasących się koni, sennèm chrapaniem Arabów i dalekim rykiem drapieżnych zwierząt. »Bracia,« — ozwie się jeden z Polaków — »jesteśmy wolni.« Wydobył ręce z więzów, i podlazłszy ku drzewu, gdzie broń i rzędy końskie leżały, porwał trzy jatagany, którémi w okamgnieniu pęta swych towarzyszy rozciął. Mieli już dopaść koni, gdy jeden z nich w nieostrożnym pośpiechu trącił pociemku o wiszącą przy siodle strzelbę i sprawił, że strzelba wypaliła a wszyscy zbudzeni Arabowie do broni się porwali. Niepodobieństwem było uciekać, a nieszczęśliwym jeńcom nic już więcéj nie pozostało, jak tylko umrzeć broniąc się do ostatka. Rozpoczęła się krwawa walka, już padło kilku Arabów, aż wreszcie stary marabut powstawszy zawołał na walczących: »Dzieci! Czyście poszaleli? Chcecie tych zabijać, którzy mają amulet, uświęcony błogosławieństwem proroka?« To rzekłszy zakrył swojem ciałem Polaków i bronił ich tak długo, aż się Arabowie uspokoili. — Strzeżono ich teraz pilniéj, a ze świtem, zabrawszy z sobą trupów poległych braci, ruszyła cała zgraja w dalszy pochód. Gdy przybyli do domu, złożono każdego trupa przed namiotem jego rodziny, a w téjże saméj chwili rzucił się rozjuszony tłum mężczyzn, kobiet, dzieci i starców na pojmanych Polaków, chcąc im życie odebrać. Dopiéro okazanie amuletu zatrzymało szaloną tłuszczę i zniewoliło ją do uśmierzenia swojej wściekłości. Abdel-Kader obozował natenczas w dolinie Egris. Ów stary Marabut zaprowadził jeńców przed niego i opowiadał mu jak się mężnie bronili. Blady Emir spojrzał na nich z uśmiéchem, i przywoławszy tłumacza, kazał im sobie opowiedzieć ich przygody i pilnie się im przysłuchiwał. Tymczasem zebrała się znowu przed namiotem czerń obozowa, żądając śmierci pojmanych. Nareszcie wystąpił sam Abdel-Kader i rzekł: »Czegoż chcecie? Nie zależyż łaska boża od tego, jak będziemy szanowali święty amulet proroka?« — »Ależ oni nam szesnastu braci zabili,« odparł lud.« — »Byłato kara iż znieważyli amulet, naruszając bezpieczeństwo, jakie on tym użycza, którzy go noszą.« Nato uspokoiła się tłuszcza, a Polacy ciągnęli dalej swoje opowiadanie. Najmłodszemu stały łzy w oczach, gdy sobie swoją przeszłość przypomniał. — »Płaczesz?« zapytał Abdel-Kader. »Powróciłbym ci chętnie twojej rodzinie, ale ty sam powiadasz, że jéj już niémasz.« — »Mam jeszcze matkę tu z sobą. Bezemnie okropna nędza ją czeka; ach może już stała się jéj ofiarą. Emirze, do niej pozwól mi wrócić!« — Emir wzruszony, obdarzył go wolnością. Jeszcze tego samego dnia został do francuzkich forpocztów odprowadzonym. W kilka dni później wymieniano także jego obudwóch towarzyszów.

Środek przeciw wściekliźnie. Książę Engaliczew, właściciel dóbr w gubernii Saratowskiéj, uczynił ważne odkrycie, iż najskuteczniejszym środkiem przeciw ukąszeniu wściekłych zwierząt jest pewien rodzaj chrząszczów, tak zwanych *centonia aurata*. Pewien lekarz w pomienionéj gubernii, dr. Wagner, badał dokładnie to lekarstwo, doświadczał go wielokrotnie z najpomyślniejszym skutkiem na ludziach i na zwierzętach, i przekonał się najpewniéj o jego niezawodnej skuteczności. Podług doniesień tegoż lekarza zbierał on te chrząszcze w miesiącu maju i czerwcu, na krzaczystych równinach, osobliwie w wielkich kopcach mrówich, gdzie zazwyczaj ukryte na spodzie leżą. Wyjąwszy je ztamtąd, zabija je natychmiast i chowa w mocno zatkanych naczyniach, poczem robi z nich proszek, który daje chorym, posypując nim kawałek niezakwaszonego, masłem posmarowanego chleba, i nie pozwalając choremu żadnego przy tém napoju, oprócz małej ilości przestałéj wody. Od wieku chorego, od czasu, jaki po ukąszeniu upłynął, wreszcie od stopnia choroby, zależą mniejsze lub większe dozy lekarstwa.

Ilość szynków w Paryżu. W stolicy francuzkiéj wypada w przecięciu na 1664 mieszkańców tylko 1 piekarz a 20 szynkarzów. Jeżli to obliczenie jest dokładném, miałby ojciec Mathew wiele tam do czynienia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.